

On mocno trzyma za wodze
i tylko ona może mu pomóc je puścić.

Serce na wodzy

Ranczo
Srebrzyste Sosny #1

editio
red



PAISLEY HOPE

Tytuł oryginału: Holding the Reins (Silver Pines Ranch #1)

Tłumaczenie: Edyta Ładuch

ISBN: 978-83-289-2187-0

Copyright © Paisley Hope, 2024

First published as Holding the Reins in 2024 by Century, an imprint of Cornerstone.

Cornerstone is part of the Penguin Random House group of companies.

No part of this book may be used or reproduced in any manner for the purpose of training artificial intelligence technologies or systems. This work is reserved from text and data mining (Article 4(3) Directive (EU) 2019/790).

Polish edition copyright © 2025 by Helion S.A.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/serr1

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: *editio@editio.pl*

WWW: *editio.pl* (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



ROZDZIAŁ 2

CeCe

Aniech mnie! Moje małeństwo! Mam wrażenie, jakbym nie wiedziała cię całą wieczność! — woła do mnie z kuchni moja mama, Jolene, zwana Mamą Jo.

Wpada do salonu niczym powiew świeżego powietrza, momentalnie przeganiając mój ponury nastrój. Ma bose stopy, dopasowane dżinsy, zsuwającą się z ramienia koszulkę zespołu Brooks & Dunn i blond fale w stylu Farrah Fawcett związane różową apaszką.

— Niech no na ciebie spojrzę! — mówi, łapiąc mnie za ramiona i obdarzając szerokim uśmiechem.

Wade, mój najstarszy i najbardziej zręczliwy z braci, wpada do domu z naszym starym golden retrieverem, Harleyem. Harley od razu do mnie podbiega i tuli się, jakbym była jego ulubionym człowiekiem. Po chwili jestem już cała w sierści i ślinie, ale nie sposób się na niego gniewać, w końcu to najśladzszy pies na świecie. Drapię go radośnie za uszami.

— CeCe Rae — wita mnie Wade swoim szorstkim, stanowczym głosem, ciągnąc za mój kucyk. Z jakiegoś powodu zawsze dodaje moje drugie imię.

— Sierzancie — odwzajemniam się jego ksywką.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek dociera do mnie, ile dźwiga na swoich barkach, w końcu to na niego spadła odpowiedzialność za całe rancho. Wygląda jak wykapany tato i patrząc na niego, odnoszę wrażenie, jakby wciąż tu z nami był.

Puszczam Harleya i mocno przytulam Wade'a. Jak zawsze lekko się spina, bo nie należy do tych wylewnych, choć wiem, że gdzieś pod tą twardą skorupą kryje się gorące serce.

— Pójdę po twoje bagaże. Mama przygotowała ci Stardust.

Stardust, czyli Gwiezdny Pył, to jedna z pięciu chatek na naszym rancho. Wszystkie otrzymały nazwy na cześć albumów Williego Nelsona. Pozostałe to Spirit, Blue Eyes, Legend i Bluegrass.

— Kupiłam ci nową pościel i trochę tam posprzątałam, więc wszystko jest czyste i świeże, skarbie. Zaopatrzyłam cię też w jedzenie.

— Dziękuję, mam — mówię, gdy odgarnia mi kosmyk włosów za ucho, a potem zatrzymuje dłonie na moich policzkach, żeby mi się przyjrzeć.

Jolene Ashby ma pięćdziesiąt osiem lat i wciąż zachwyca urodą oraz energią, a do tego nigdy nie daje sobie w kaszę dmuchać. Jest uosobieniem wolnego ducha, a ja każdego dnia staram się być choć trochę jak ona.

— Płakałaś, skarbie?

Odpowiadam jej uniwersalnym: „mhm”.

— Ile razy dzwonił już do ciebie ten drań, co?

Parskam śmiechem na jej trafną ocenę mojego byłego narzeczonego i siadam na brzegu kanapy. Wpatruje się we mnie wyczekująco, z rękami wspartymi na biodrach. Nic nie mówię, tylko wzdycham, bo nie jestem jeszcze gotowa, by rozmawiać z nią o Andrew.

— Opuścisz mi chociaż dziś? Obiecuję, że jutro wszystko ci opowiem, dobrze? Chcę tylko odetchnąć świeżym powietrzem, rozpakować się i zaszyć w domku z książką.

Ginger wyłania się z kuchni, jakby moje plany na spokojny wieczór przywołały ją do salonu.

— Nic z tego. — Jej kowbojki stukają rytmicznie o podłogę, gdy podchodzi ze szklanką słodkiej herbaty Mamy Jo. — Wszyscy już wiedzą,

że wróciłaś do domu. Nie ma mowy, żebyś przegapiła niedzielną sangrię. Wyśpisz się jutro, szkoda czasu na użalanie się nad sobą.

— Wszyscy? Czyli kto dokładnie? — Wzdycham ciężko.

Obdarza mnie oszalałym uśmiechem, a w jej ślicznych karmelowych oczach tańczy psotny błysk. Naturalne ciemnobrązowe loki miękko okalają jej twarz. Od zawsze była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie widziałam na żywo.

— No dziewczyny, oczywiście. W końcu to babski wieczór. — Łapie mnie za nadgarstek. — Najpierw kolacja, potem zrobimy cię na bóstwo. Musisz wyglądać jak gorąca singielka, którą zresztą jesteś.

Zerkam na mamę w nadziei, że mnie ocali, ale ta tylko unosi ręce, jakby nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

— Zawsze lepsze to niż wieczór z vibratorem. — Parska śmiechem.

— Mamo! — oburzam się, a ona i Ginger zwijają się ze śmiechu.

Co za cholerne miasto.



Dwie godziny później moje prywatne stylistki, Mama Jo i Ginger, przygotowały mi strój, którego nigdy, ale to nigdy nie włożyłabym z własnej woli, nie wspominając już o pokazaniu się w nim publicznie. Jak to jednak trafnie ujęły, „całe miasteczko już wie, że mam zapas zabawek erotycznych, więc równie dobrze mogę podejść do tego na luzie i dać się porwać modowej gorączce”.

Jest tu więcej ubrań, niż przestrzeń mojego nowego domu może pomieścić. Moja chatka jest niewielka i przypomina raczej małe mieszkanie niż pełnoprawny dom, ale to ją z całej piątki lubię najbardziej, bo duże okno nad kuchennym zlewem wychodzi na jedną z większych zagród dla koni na naszym ranczu. A w oddali widać w całej okazałości pasmo górskie Sugarland.

Mama urządziła to miejsce tak, jakbym mieszkała tu od lat, rozstawiając świece, poduszki, a nawet czasopisma na stoliku w salonie. Są tu

tylko jedna sypialnia i łazienka z ciemnymi drewnianymi ścianami, ale to wszystko, czego potrzebuję, by zacząć od nowa.

Lata temu na naszym ranchu mieszkało wielu trenerów, zwłaszcza w czasach, gdy mój tata przygotowywał konie do wyścigów. Jednak od dziesięciu lat to Wade wszystkim dowodzi, a Cole przeniósł się do miasta, gdzie mieszka z moją ukochaną siedmioletnią siostrzenicą Mabel, więc od tamtej pory dwie chatki stoją puste.

Przeglądałam się w pełnowymiarowym lustrze, które przeniosłyśmy do salonu na potrzeby tego prowizorycznego pokazu mody.

Stękam i wzdycham, zastanawiając się, czy naprawdę zamierzam wyjść w tym z domu. Mam na sobie ciemną dżinsową minispódniczkę, którą nieustannie ciągnę w dół, żeby zasłaniała mi przynajmniej połowę uda, oraz czerwony koronkowy top na ramiączkach, pożyczony od Ginger, w którym moje piersi ledwo się mieszczą.

Wczesne dojrzewanie było dla mnie zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem, ale przynajmniej teraz w pełni doceniam swoje krągłości. Poprawiam liczne naszyjniki i duże złote kolczyki-koła, dodane przez Ginger. Ułożyła też moje długie blond włosy w miękkie fale i loki. Wydaje mi się, że nawet na balu maturalnym nie miałam na włosach aż tyle lakieru.

— Czegoś mi tu jeszcze brakuje — stwierdza Ginger, przygryzając dolną wargę. — Ściągaj te sandały! — rozkazuje, unosząc zadbane palec.

— Nie wyciągnęłam jeszcze z walizki innych butów...

— Nie waż się wątpić w moją kreatywność! Ściągaj je! — żąda, po czym zdejmuje ze stóp kowbojki marki Lucchese w kolorze kości słoniowej i rzuca je w moją stronę. Wymieniamy się butami od siódmej klasy szkoły podstawowej. — Och, tak, ale najpierw włóż to. — Ciska we mnie parą podkolanówek w tym samym kolorze, które leżały pośrodku łóżka.

— Chcesz, żebym włożyła twoje ukochane buty? — pytam zaskoczona, bo rzadko kiedy się z nimi rozstaje.

— Tak, tego wieczoru potrzebujesz ich bardziej niż ja.

Posłusznie wkładam je na stopy i obracam się, żeby obejrzeć się w lustrze.

— Tak! Wyglądasz jak Dolly, gdyby Dolly miała mniejsze cycki. — Puszczam mi oko, a ja rzucam w nią poduszką z sofy.

— Jak Dolly — mamrocze, przyglądając się sobie w lustrze. Ginger daje Mamie Jo całusa w policzek i odwraca się do mnie.

— No i jesteś gotowa do wyjścia. Przygotuj się na hektolitry sangrii i masę złych decyzji! — Wskakuje w moje sandały, bierze mnie pod rękę i ciągnie ku drzwiom.

Gdy wsiadamy do auta i machamy mojej mamie, wciąż stojącej na werandzie mojej chatki, słońce powoli chyli się ku zachodowi.

— Pa, mam — wołam przez okno.

— Bawcie się dobrze! Złamcie kilka serc, tylko bez łamania prawa.

Chichoczę, kręcąc głową, kiedy Ginger odpala silnik, a z głośników płynie śpiew Jasona Aldeana.

Seattle wydaje się teraz odległym wspomnieniem, a ja po raz pierwszy, odkąd zdecydowałam się odejść od Andrew, czuję się wolna.



Bar Horse and Barrel tętni życiem dzięki kobietom z całego miasteczka i kilku odważnym mężczyznom, którzy za nic nie chcieli przegapić poobiedniego browarka. Niedziele z sangrią są w Laurel Creek tradycją i odbywają się, odkąd sięgam pamięcią. To wieczór wyłącznie dla kobiet. Tańczymy do najlepszej muzyki country, płynącej z zabytkowego sprzętu grającego, plotkujemy i cieszymy się tanimi drinkami, zwłaszcza domową sangrią. Całe miasto wie, że w poniedziałki po takim wieczorze lepiej nie oczekiwać zbyt wiele od kobiet, bo istnieje spora szansa, że nadal będą na lekkim kacu.

Dzisiejszego wieczoru tłum nie zawodzi. Lokal dosłownie pęka w szwach, a ja i moje dziewczyny wciskamy się w kąt jedyne go rustykalnego baru kowbojskiego w Laurel Creek. Nie było mnie tu od dobrych kilku lat, ale poza nową sosnową podłogą niewiele się zmieniło. Rozglądam się, chłonąc widok starych blaszanych szyldów zdobiących całą

tylną ścianę nad sceną, gdzie w piątki i soboty grają lokalne zespoły. Do ciemnych drewnianych ścian przymocowano puste butelki po Jacku Danielsie zaadaptowane na kinkiety, a nad przytulnymi łóżkami wiszą przyciemnione żyrandole. Pośrodku lokalu rozciąga się przestronny parkiet taneczny, a wzdłuż całej wschodniej ściany ciągnie się bar rozświetlony neonami. W ich centrum dumnie lśni maskotka naszego miasteczka w postaci wielkiego neonowego muralu, Tygrys Archibald.

— Niech mi ktoś przypomni, dlaczego wisi tu ten gigantyczny tygrys? Odnoszę wrażenie, że się na mnie gapi, a to mnie serio przeraża — mówi Avery Pope, najnowsza i najmłodsza członkini naszej paczki. Dopiero ją poznałam, ale wydaje się sympatyczna i zabawna. Ginger powiedziała mi, że przeprowadziła się tu dwa miesiące temu z Lexington, żeby uczyć łyżwiarstwa figurowego w miejskim ośrodku sportowym. Coś już wcześniej o niej słyszałam. Podobno potrafi przepić wszystkie moje dziewczyny, a patrząc, jak wychyla resztkę swojego drinka, zaczynam wierzyć, że to prawda.

— To nasz bohater — oznajmiam z dumą. Wszystkie uwielbiamy opowiadać jego historię, ale to ja jestem jej oficjalną ekspertką. W końcu napisałam o nim rozprawkę w ósmej klasie. — Gdy do miasta przyjeżdżał jeszcze wędrowny cyrk...

— Czyli jakoś w dziewiętnastym wieku — wcina się Ginger.

— Dokładnie w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku — poprawiam ją. — Archibald wyruszył na poszukiwania tygrysa, który uciekł z cyrku. Zwierzę było młode, niektórzy twierdzą nawet, że było to tygrysiątko. Maluch znalazł się na torach, a Archibald, słysząc nadjeżdżający pociąg, przegonił go w bezpieczne miejsce i sam wpadł pod rozpędzoną lokomotywę. Poświęcił życie, żeby go ocalić. To nasza miejska legenda. W pobliżu parku Cave Run stoi nawet jego pomnik.

— Och... — wzdycha Avery.

— Wiesz, że to totalna bzdura, prawda? — odzywa się głęboki głos. Głos, który znam aż nazbyt dobrze.

Zbieram się w sobie i odwracam, by spojrzeć w twarz stojącej za mną osobie.

— To prawda — upieram się, unosząc brew.

— Gówno prawda. Archibald był zwyczajnym samolubnym dupkiem, który od zawsze próbował wyrwać się z cyrku. Trudno mu się dziwić, bo podobno koszmarnie traktowali tam te zwierzęta. — Umieśnione i wytatuowane przedramię kładzie garść serwetek pośrodku naszego stolika, a ja dostrzegam rzymską dziesiątkę wplecioną w pnącza wiciokrzewu, które znikają pod podwiniętym rękawem flanelowej koszuli. — W każdym razie zwiął pewnej nocy i był zupełnie sam, kiedy wpadł pod pociąg. Cała ta bajeczka o ratowaniu tygrysiątka to tylko legenda, która miała zrobić z niego bohatera. Dobry marketing, ale na próżno szukać w tym prawdy.

Zarówno Ginger, jak i ja wciągamy gwałtownie powietrze.

— Jak śmiesz?! — oburza się Olivia Sutton, moja druga najlepsza przyjaciółka i ostatnia część naszego nierozłącznego trio. — Zabieraj się od naszego stolika i przestań szerzyć te plugawe kłamstwa oraz szargać dobre imię naszego miasta, Nashu Carterze! — Grozi mu palcem.

— Spokojnie, dziewczyny — odpowiada Nash, śmiejąc się pod nosem. — Przyniosłem to tylko po to, żeby powitać Rae w domu, ale skoro tak mnie traktujecie, może odstawię to na inny stół... — Unosi dzbanek najlepszej sangrii w promieniu trzech hrabstw, uśmiechając się tym swoim nieznośnie pewnym siebie uśmiechem. I niech mnie diabli, jeśli nie jest najbardziej obłądnym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Zawsze był przystojny, ale teraz, jakimś cudem, wygląda jeszcze lepiej. A najgorsze jest to, że doskonale o tym *wie*. I potrafi to wykorzystać. A ja mam już po dziurki w nosie facetów, którzy używają swojego uroku jak broni.

— Hola, hola, nie tak szybko — mówi Ginger, obdarzając go szerokim uśmiechem. — Nie ma potrzeby, żebyś szukał innego stolika. Na pewno jakoś się dogadamy. W końcu każda historia zależy od perspektywy, więc może i twoja wersja legendy o Archibaldzie zasługuje na rozważenie. Dzięki za darmową dolewkę, Nashby. — Puszcza do niego oko i poklepuje go po przedramieniu, używając przezwiska, które jest połączeniem jego imienia i mojego nazwiska. Nash od lat jest jak czwarte dziecko moich rodziców, a właściwie odkąd był nastolatkiem.

Kiwa głową i stawia dzbanek na stole.

— Cała przyjemność po mojej stronie, drogie panie. Na zdrowie.
A z tobą, Avery, widzę się jutro, prawda?

Avery uśmiecha się do niego i gorliwie przytakuje.

— Jak najbardziej.

Zerkam na nią, na jej długie ciemne włosy, sylwetkę łyżwiarki, drobną, ale silną, opaloną skórę i oliwkowe oczy. Jest piękna, młoda i jeszcze nie wie, że Nash pobawi się nią, aż mu się nie znudzi. Nie mam wątpliwości, że ją bzyka.

Nash kładzie dłoń na moim ramieniu i nachyla się lekko.

— Dobrze cię widzieć, Rae — mówi swoim głębokim, niskim głosem, na moment spotykając się ze mną spojrzeniem. Ścisza delikatnie moje ramię, a ja czuję, jak rozlewa się we mnie przyjemne ciepło.

Odprowadzam go wzrokiem, próbując zrozumieć, co tu się właściwie dzieje. Nash „Rakieta” Carter — rekordzista hokejowy, mistrz strzałów z klepy, zdobywca Pucharu Stanleya, ulubieniec Laurel Creek i najlepszy przyjaciel mojego brata Wade’a — pracuje teraz jako *barman* w Horse and Barrel?

— Wiem, o czym myślisz — mówi Olivia, nachylając się nad stołem. Miedziane włosy opadają jej na ramiona, a błyszczące różowe usta układają się w uśmiech. — Pomaga Rocco Pressleyowi od kwietnia, czyli odkąd przeszedł na sportową emeryturę i wrócił tu na stałe. Rocco nie ma już siły prowadzić baru, nie potrafi też odpuścić. Nash nie dostaje za to ani centa. Chyba po prostu nie umie usiedzieć w miejscu.

— Pierwsze słyszę — rzucam nonszalancko, znów zerkając na stojącego za barem Nasha. Trzeba przyznać, że jest nieprzyzwoicie przystojny. Wszystko w nim jest przytłaczające i duże. Ma grubo ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i góruje nade mną o ponad trzydzieści centymetrów. Jest typem twardziela z ciemnymi, falującymi włosami, krótko przystrzyżonym zarostem i szeroką linią zuchwy. Wygląda jak żywcem wyjęty z reklamy wranglerów i aż dziwne, że nie siedzi rozparty na drewnianym krześle z cygarem w dłoni. Jego muskularna sylwetka od zawsze przyciągała mój wzrok. Pamiętam go jeszcze z czasów, gdy grał w hokeja z moimi braćmi na podjeździe albo kiedy jako osiemnastolatek

przerzucał siano na naszym ranczu, bez koszulki, a ja obserwowałam go ukradkiem z okna sypialni. Choć sądząc po tym, jak jego ramiona niemal rozrywają szwy koszuli, dochodzę do wniosku, że lata w NHL jeszcze bardziej wyrzeźbiły jego ciało, nadając mu niemal boskie proporcje. Widzę też, że od naszego ostatniego przelotnego spotkania w styczniu, na pogrzebie mojego taty, przybyło mu kilka nowych tatuaży. Zza kołnierzyka widać się po jego szyi ciemne pnącza. Nash na sekundę napotyka moje spojrzenie, zanim zdążę odwrócić wzrok. Jego oczy zawsze mnie do siebie przyciągały, są głębokie i intensywnie kobaltowe. Za każdym razem, gdy się na mnie patrzy, wpadam w nie bez reszty. I za każdym razem tracę zdolność logicznego myślenia.

Nash Carter jest bez wątpienia obłądnie przystojny, ale od zawsze był zarozumiałym dupkiem, traktującym mnie jak upierdliwą smarkulę. Droczył się ze mną, odkąd sięgam pamięcią, i to aż do momentu, gdy wyjechałam na studia. Raz za razem pojawiał się w naszym domu z nową dziewczyną i obściskiwał się z nią na kanapie, gdy nie było rodziców, nie zważając na to, że ledwo powstrzymywałam odruchy wymiotne. Przypominam sobie, jak wyjadał wszystkie słodczyce ze spiżarni, jak imprezował z moimi braćmi przed meczami futbolu, jak ciągnął mnie za włosy, zrzucał mi czapkę z głowy i pomagał im robić mi najgorsze psikusy.

Od tamtej pory minęło już sporo czasu, ale kiedy patrzę, jak emanuje tą samą pewnością siebie i charyzmą, rozmawiając z klientami przy barze i poprawiając swoją bejsbolówkę Dallas Stars, czuję, że nic się nie zmienił.

Nash Carter to nadal zadufany w sobie kobieciarz. I dokładnie od takiego faceta uciekłam przez pół kraju.



ROZDZIAŁ 3

Nash

Ostatnie, czego się spodziewałem w połowie mojego typowego niedzielnego wieczoru, to błysk miodowych włosów. Nikt nie ma takich włosów jak ona — to nawet nie blond, to kolor samego słońca. A jednak jest tutaj, cała ona, CeCe Rae Ashby, dorosła i wystrojona w najkrótszą i najbardziej obcisłą miniówkę, jaką ten bar kiedykolwiek widział. Miniówkę, która sprawia, że mam ochotę wyprowadzić ją tylnymi drzwiami i przewiązać jej talię kurtką, ponieważ nie tylko mnie rzuciła się w oczy, lecz także wszystkim innym mężczyznom, którzy tu są.

Na szczęście dzisiejszy wieczór należy do kobiet, więc mężczyzn jest tu niewielu. Poradziłbym sobie, gdyby któryś z nich postanowił zrobić coś głupiego.

Krojąc cytryny i limonki za barem, wracam pamięcią do tego, jak wyglądała w styczniu, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Była wtedy taka blada i załamana. Miała opuchnięte od łez oczy, długą czarną wełnianą sukienkę i włosy spięte w ciasny kok. W końcu był to pogrzeb jej taty. Przyjechałem do miasta tylko na jedną noc, bo następnego dnia czekał mnie mecz gwiazd NFL w Nashville. Ale musiałem tam być, choćby

na chwilę. Musiałem być przy tej rodzinie po śmierci Wyatta, bo każdy z nich zawsze był przy mnie, nawet CeCe.

Nie licząc tamtego dnia, minęło przeszło pięć lat, odkąd ostatni raz ją widziałem. Ale bez względu na to, ile czasu minęło, od razu włączam tryb ochrony, jak wtedy, gdy była młodsza. Kiedy była nastolatką, musieliśmy się nią opiekować, cała nasza trójka chłopaków. CeCe jest jedną z tych dziewczyn, które nie zdają sobie sprawy ze swojego piękna, co sprawia, że jest jeszcze bardziej pociągająca dla wszystkich mężczyzn w tym pomieszczeniu. I nie wiem dlaczego, ale dziś i ja nie mogę oderwać od niej wzroku.

Nie uśmiecha mi się granie roli prywatnego ochroniarza CeCe tego wieczoru, w końcu to babski wieczór, ale skoro tu jest, to nie mam wyjścia, chyba będę musiał dodać to do mojej długiej listy zadań.

Zerkam na duże oprawione zdjęcie, na którym połowa miasta stłoczyła się w tym barze z Pucharem Stanleya, który przywiozłem tu trzy lata temu. Mieszkańcy są dumni, że mają hokeistę takiego kalibru, co oznacza, że muszę być zawsze w formie. Czasem mnie to męczy, ale staram się nie narzekać, skoro jedyne, co muszę robić, to rozdawać autografy i częstować tanimi drinkami, by utrzymać ten bar przy życiu. To miasto od zawsze było dla mnie życzliwe, a obserwowanie, jak się rozwija, daje mi odrobinę wewnętrznego spokoju, którego nie mam za wiele.

Skupiam się na polewaniu whisky i przygotowywaniu dzbanków z sangrią, gdy godzinę później CeCe wchodzi na parkiet w towarzystwie Olivii i Ginger, istnych Diabolic Charliego. Przyłgnęła do nich ta ksywka, bo z chłopakami ratowaliśmy je z każdej możliwej opresji. Odbieraliśmy je z pijackich imprez, kiedy chodziły do liceum, kryliśmy je, gdy tak bardzo odpłynęły po trawce, że prawie spaliły dom, smażąc naleśniki. Opieka nad tymi dziewczynami to była robota na pełen etat. Wycieram bar, zastanawiając się, co w ogóle robi tu CeCe. Z tego, co ostatnio słyszałem, była zaręczona z jakimś prawnikiem z Seattle.

Gdy na nią patrzę, uśmiech sam ciśnie mi się na usta. Tańcząc do piosenki Morgana Wallena, z trzema kieliszkami sangrii w dłoniach, w niczym nie przypomina dziewczyny z Seattle. Tu, na tym parkiecie, wygląda jak typowa dziewczyna z Kentucky. Uzupełniam kieliszki przy

barze, kiedy z głośników zaczyna lecieć utwór Shanii Twain *Man! I Feel Like a Woman*, a tłum szaleje. To ich pieprzony hymn.

Przelatują mi przez umysł wspomnienia dawnej CeCe, tej z aparatem na zębach i długim warkoczem, tańczącej w salonie do *Rock This Country* Shanii. Nie mogę powstrzymać uśmiechu, przypominając sobie, jak dała się porwać temu utworowi, a potem niezdarnie o coś zahaczyła i siarczyście przekleła.

— Masz ochotę wyskoczyć dziś na parkiet? — pyta Asher, weekendowy barman, wiedząc, że to totalnie nie w moim stylu. Przyjechał do Laurel Creek z Nowego Jorku, żeby kierować miejskim oddziałem straży pożarnej i pracuje tu ze mną, odkąd wróciłem do domu i zająłem się tym barem. Nie mam bladego pojęcia, dlaczego dorabia w weekendy, ale jest cichy, zawsze trzeźwy i wygląda cholernie przerażająco, co niewątpliwie pomaga utrzymać porządek w barze, gdy stoi za ladą. Uśmiecham się szeroko. Zwykle wychodzę na salę, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale głównie pracuję w biurze Rocco, które zaczyna już przypominać moje własne. Asher to jeden z tych facetów, którym nic nie umyka, i prawdopodobnie to sprawia, że jest tak dobrym strażakiem.

— Ta, jasne, po prostu mam oko na siostrę Wade’a i Cole’a Ashbych — odpowiadam, kiwając głową w jej kierunku, a Asher patrzy w stronę dziewczyn.

— Czyli to jest CeCe Ashby, tak? — Spogląda na nią w sposób zupełnie niegroźny, ale mnie to i tak wkurza. Pracuję z nim już ponad cztery miesiące, ale wciąż nie potrafię go rozgryźć. — Nie chcę cię martwić, ale wygląda na to, że każdy facet w tym barze ma na nią oko. Wystarczy nowy ładny uśmiech, żeby przyciągnąć uwagę pijanych mężczyzn.

Zaciskam zęby i zerkam w jej stronę. Poważnie rozważam opcję wywleczenia jej na zewnątrz i schowania w bezpiecznym miejscu. Po chwili jednak muszę oderwać od niej wzrok, by nie gapić się na jej wąską talię i długie, gęste włosy spływające po jej plecach. Nie wygląda już tak niezgrabnie jak kiedyś, kołysząc biodrami w rytm muzyki. Czasy zdecydowanie się zmieniły.

Gdy postanawiam zaszyć się w biurze, by nie czuć się jak zdesperowany zboczeniec, na parkiecie dochodzi do szarpaniny, w której biorą udział kochane Diablice, co zmusza mnie do działania.

Słyszę krzyk CeCe, gdy się do nich zbliżam:

— Masz szczęście, że nie starłam ci tego tandetnego uśmiešku z twarzy! — Jej południowy akcent uderza we mnie z całą mocą, a w jej oczach płonie szmaragdowy płomień prosto z Kentucky. Olivia powstrzymuje ją przed kolejnym atakiem. — Co z ciebie za matka, że mówisz swojej córce, że ją odwiedzisz, a potem się z tego wycofujesz, żeby spędzić noc w *barze*, co?

— I mówi to typiara, która siedzi przy stoliku obok i wlewa w siebie drugi dzbanek sangrii, ta? — drwi Gemma.

Gemma to nieźła zadymiara, a do tego była żona Cole’a. Dwa lata temu rzuciła na niego obowiązek opieki nad Mabel, a sama rozkoszuje się drugą młodością. Dwie wściekłe kobiety i kilka dzbanków alkoholu to naprawdę zły pomysł.

— W porównaniu z *tobą* nie mam tak cudownej córki, z którą mogłabym spędzać każdą wolną chwilę.

— Daj spokój, słońce. Szkoda nerwów na tę idiotkę — szepcze Ginger do CeCe. — Niech tarza się w swoim żalu i zapija utracone marzenia. I tak nic nie zmienia faktu, że jest głupią dziwką, która zdradziła Cole’a z połową tego pieprzonego miasteczka — dodaje, po czym kładzie dłoń na ramieniu Gemmy. — Prawda, skarbie? — Uśmiecha się słodko, na co Gemma reaguje agresją.

Kurwa mać.

Paznokcie i włosy płaczą się ze sobą, kiedy wpadam między nie i odciągam Ginger oraz CeCe od Gemmy, podczas gdy Victor, mój ochroniarz, trzyma Olivię.

— Zaraz będę musiał zadzwonić po gliny. Jezu, Rae, to twoja pierwsza noc w mieście, a już pakujesz się w kłopoty.

— No i świetnie. Zadzwon po Cole’a i ściągnij tu tego przystojnego zrzęde. — Chichocze Ginger, a ja tylko przewracam oczami.

— To ona zaczęła! — krzyczy CeCe, wskazując na Gemmę, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu. Zawsze staję w obronie brata, gdy idzie o to, co zrobiła mu jego pierwsza i jedyna żona.

— A co ty tu w ogóle robisz, CeCe Rae, co? Twój boski prawnik kopnął cię w końcu w dupę? — odgryza się Gemma, opierając rękę na biodrze.

CeCe momentalnie się na nią rzuca, więc biorę sprawy w swoje ręce i przerzucam ją sobie przez ramię, dając znak Victorowi i Asherowi, żeby zabrali Gemmę i resztę tej ekipy na zewnątrz. Zasłaniam ręką tyłek CeCe, żeby nikt nie mógł zajrzeć jej pod spódniczkę, i wychodzi na to, że ostatecznie i tak muszę ją stąd wywlec.

— Nashu Everecie Carterze, postaw mnie na ziemi, bo zamierzam skopać tej dziwce dupę za to, co powiedziała o Cole’u.

— Wyluzuj, wojowniczo, nie ma opcji, żeby do tego dopuścił. — Śmieję się, przepychając się z nią przez tłum do biura. Sадzam ją na skórzanym fotelu przed moim biurkiem. Włosy opadają jej na ramiona, a klatka piersiowa fałduje z wściekłości, podlanej zbyt dużą ilością alkoholu.

— Wygląda na to, że wystarczy ci zaledwie kilka kieliszków sangrii, by zmienić się w małą szajbuskę, co nie, Rae? — pytam, krzyżując ręce.

— Ta suka skrzywdziła Cole’a i Mabel. Powinieneś wykopać ją ze swojego baru.

Nachylam się, by spojrzeć jej w oczy i jakoś ją uspokoić. Unieruchamiam jej nadgarstki na podłokietnikach fotela.

— Już to zrobiłem, ale obawiam się, że będziesz się musiała przyzwyczaić do jej widoku, jeśli zamierzasz zostać tu dłużej niż na weekend. Pracuje w lokalnym salonie fryzjerskim i pojawia się tu co niedzielę. Zwykle nie sprawia problemów — dodaję.

CeCe wbija we mnie wzrok, a w jej oczach pojawia się coś, czego nie potrafię nazwać.

— Zostaję tu na dobre.

I wtedy do mojego biura wpadają Ginger i Olivia, pokładające się ze śmiechu.

— Jak za starych, dobrych czasów, co nie, Nashby? — rzuca Ginger, klepiąc mnie po ramieniu.

Kręcę głowę. Ta mała rozrabiaka zawsze była w centrum każdej zadamy, a CeCe była jej wierną skrzydłową, co na ogół niezbyt dobrze się dla niej kończyło.

— Jeśli pakowanie się w kłopoty nazywasz „starymi, dobrymi czasami”, to tak, jest jak za starych, dobrych czasów...

— Tak trzeba żyć, kochanieńki — odpowiada z uśmiechem.

Opieram ręce na biodrach i z westchnieniem unoszę wzrok ku górze, po czym wracam spojrzeniem na CeCe.

— Dasz radę tam wrócić i nie wpakować się w kolejne kłopoty, wojowniczo? — pytam.

Mruży oczy.

— Tak, o ile ktoś wyniósł już śmieci. — Wstaje i poprawia spódniczkę, nachylając się w moją stronę. Obmywa mnie świeży zapach truskawkowego szamponu do włosów. — Bądź dobrym chłopcem i przynieś nam kolejny dzbanek sangrii na koszt firmy, dobrze? — dodaje, klepiąc mnie po policzku, co niespodziewanie mnie pobudza.

To siostrzyczka Cole’a i Wade’a. To siostrzyczka Cole’a i Wade’a, powtarzam sobie w myślach, ale wygląda na to, że mój fiut nic sobie z tego nie robi i momentalnie twardnieje.

— Zajmę się tym, drogie panie — odpowiadam z sarkazmem, odciągając jej dłoń od swojej twarzy, po czym wyprowadzam ją z mojego biura z powrotem na salę.

Po wszystkim wracam za bar, kręcąc głowę. Z Diablicami nie można się nudzić.

— Wyślij im kolejny dzbanek sangrii, ale z mniejszą dawką alkoholu, okej? — rzucam do Ashera, poklepując go po plecach, na co on przytakuje.

— Jasne, szefie.

Śledzę CeCe wzrokiem, gdy wraca na parkiet. To, jak porusza się do piosenki *Vice* Mirandy Lambert, sprawia, że czuję się jak stary zbok.

Ja pierdolę. Na serio zostaje tu na dobre?

Jakimś cudem będę musiał znieczulić się na CeCe Ashby. Jest niczym huragan, który uświadamia mi dwie rzeczy — że jest cholernie piękna i cholernie zakazana.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Miłość? To miała być tylko chwila...

Na szczęście to już przeszłość. Po zerwanych zaręczynach z bogatym, przystojnym i narcystycznym dupkiem Cecilia „CeCe” Ashby postanawia wrócić do rodzinnego Laurel Creek w Kentucky i odzyskać spokój.

Rodzinne ranczo Srebrzyste Sosny przynosi jej ukojenie i wywołuje mnóstwo wspomnień. Niespodziewanie na drodze dziewczyny staje Nash „Rakieta” Carter. Trudno opisać go jednym zdaniem. Kiedyś wyjadał słodycze ze szpiarni, imprezował z braćmi CeCe i robił jej złośliwe psikusy. Dziś Nash jest gwiazdorem hokeja, lokalnym bohaterem i... najlepszym przyjacielem jej brata.

Nash prędko się przekonuje, że nie umie oderwać wzroku ani myśli od ślicznej CeCe. Kiedy dziewczyna decyduje się na znalezienie pracy i poukładanie życia na nowo w Laurel Creek, on robi wszystko, aby jej pomóc. Wkrótce rodzi się między nimi uczucie, które przewycięża wcześniejszą nieufność CeCe. Jednak przeszłość nie daje o sobie zapomnieć i nie pozwala się zignorować.

Najtrudniej jest wypuścić wodze z ręki.

● CUTE
●● SENSUAL
●●● SPICY
●●●● DARK

editio
Rep
EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-2187-0



9 788328 921870

cena: 49,90 zł